

GRAŻYNA  
MAĆZKOWSKA

# TATUAŻE PODŚWIADOMOŚCI



**Grażyna Mączkowska**  
„Tatuaze podświadomości”

Copyright © by Grażyna Mączkowska, 2017  
Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o., 2017

**Wszelkie prawa zastrzeżone.**

Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana, powielana i udostępniana w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Redaktor prowadząca: **Renata Grześkowiak**  
Korekta: **Emilia Ceglarek, Zuzanna Laskowska**  
Projekt okładki: **Jakub Kleczkowski**  
Skład: **Jacek Antoniewski**  
Ilustracje na okładce: **Masson – Fotolia.com**

ISBN: 978-83-8119-102-9

**Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.**  
ul. Spółdzielców 3/325, 62-510 Konin  
tel. 63 242 02 02  
<http://psychoskok.pl>  
e-mail: [wydawnictwo@psychoskok.pl](mailto:wydawnictwo@psychoskok.pl)

*Mojemu mężowi z okazji koralowych godów  
Szliśmy do siebie ty i ja  
A drogi nasze wciąż mroczne były  
Lecz znalazł się ktoś  
I pomógł nam się spotkać  
Wśród zielonej naszej równiny*

.....

*A przecież mogłem być  
Przed twoją erą  
A przecież mogłaś być  
Przed moją erą  
(z rep. SDM)*

*Każde życie jest powieścią*

# Spis treści

Prolog . . . . .	5
Powakacyjnie . . . . .	6
Gabi. . . . .	19
Tataże podświadomości . . . . .	19
Jesień sprzyja pięknym myślom. . . . .	36
Olśnienie . . . . .	42
Zachwianie . . . . .	55
Stop! . . . . .	60
Wiktorja . . . . .	69
Wspomnienia . . . . .	78
Radość. . . . .	84
Siostry. . . . .	92
Witek . . . . .	106
Skowronki . . . . .	115
Teresa . . . . .	121
Ojciec . . . . .	125
Kwiatuszek . . . . .	131
Pożegnanie . . . . .	141
Debiutantka. . . . .	146
Matka . . . . .	154
Lotnisko . . . . .	164
Prośba o miłość . . . . .	170
Królowa matka. . . . .	181
Od autorki . . . . .	183
Domniemanie . . . . .	186
Epilog . . . . .	191
Podziękowania. . . . .	192

# Prolog

Przeszłość najpierw była Przyszłością, a potem Teraźniejszością. Teraźniejszość wczoraj była Przyszłością, a jutro będzie Przeszłością. Przyszłość dziś nią jest, bo już jutro stanie się Teraźniejszością. Każdy dzień Przyszłości stanie się Przeszłością, przeżyтым czasem. Nie można mówić, że to, co minęło, nie ma znaczenia. Przeszłość jest cenna, ma wielką wartość. To nasze życie.

Przyszłość, Teraźniejszość i Przeszłość mogą istnieć tylko razem, to siostry, władczynie naszego czasu, na dodatek serdeczne i najwierniejsze przyjaciółki. Każda za każdą skoczy w ogień, dlatego walka z Przeszłością skazana jest na porażkę. Zamiast z nią wojować lepiej zaakceptować fakt, że nam się przytrafiła i oswoić ją.

Czy Przyszłość nas ukształtowała? Nauczyła czegoś? Dała do myślenia? NIE! Dopiero jutro zaczniemy ją poznawać. Może narozrabiać w naszym życiu albo być potulnym kociakiem. Będzie miała znaczenie, gdy zostawi ślady po sobie i stanie się Przeszłością. To Przeszłość jest ważna. Najważniejsza! Jest najstarszą z trzech sióstr–przyjaciółek. Posadźmy ją w wygodnym i przepastnym fotelu. Niech sobie siedzi, podziwiając, jak się mierzymy z Teraźniejszością i jak uśmiechamy się do Przyszłości. Choć bywa balastem i cięży niemiłosiernie, to ona trzyma nas w ryzach, czyni mądrymi i lepszymi. Przeszłość to ukończony fakultet! Zajmuje ważne miejsce w naszych umysłach i sercach. Gdyby ją stamtąd usunąć, pozostałyby wielkie dziury. Nie można przecież żyć z dziurami w mózgu i w sercu.

# Powakacyjnie

Na moich Mazurach początki września od lat są takie same. Po odjeździe dzieci i wnuków przywykam do ciszy, dwóch szczoteczek do zębów w łazience i najczęściej tylko czterech par butów w przedpokoju. Wieszak też jakiś samotny, smutny... Jeszcze słyszę dziecięce szczebiotania oraz przeróżne dźwięki zabawek i gier elektronicznych. Poranne gugania i gaworzenia naszej najmłodszej pociechy już nie dochodzą z pokoju, w którym spała. Ale wciąż je słyszę. Jeszcze mi grają w głowie. Z podłóg zniknęły samochodziki, piłki i klocki. Na sznurach między jabłnkami już nie fruwały maleńkie body, kaftaniki ani fikuśne dżinsiki. Dziś od rana wiatr powiewa długimi nogawkami moich i męża spodni, i tak samo wielkimi rękawami jego swetrów i koszul. Teraz wydają mi się jeszcze większe niż do tej pory. W te wakacje najmłodszy wnuk po raz pierwszy przyjechał do Polski, do babci i dziadka na Mazury. Wkurzam się, bo w styczniu pierwsze loty z nowego lotniska w Szymanach będą do Niemiec i Krakowa. A przecież w ankietach największe zainteresowanie było lotami do Londynu! Londyn będzie, ale później, za kilka miesięcy. A ja chcę już! Teraz! Cierpliwość nie jest moją domeną. Biorę do ręki jaśka. Wtulam w niego twarz... Niemowlaki tak pięknie pachną, słodko. Ale zapach, który nasza kruszynka zostawiła w pokoju, koi tylko na chwilę, by jeszcze bardziej nasilić tęsknotę. Nic to, niedługo polecę na roczek, niestety, nadal z Modlina. Dźwięk komórki przerwał moje nostalgiczne i wszelkie dywagacje, nie tylko wakacyjno-jesienne.

– Cześć, Gabi. No, nareszcie! ... Oczywiście wpadaj! Czekam! – z radością wykrzykuje do telefonu.

Moja przyjaciółka ostatnio była u mnie lata świetlne temu, co oznacza, że nie widziałyśmy się ponad miesiąc. Jednak przez ten czas kontaktowałyśmy się, bo jest przecież wiele możliwości.

Ale spotkanie u któregoś z nas to zupełnie coś innego. Minęły wakacje, poodjeżdżali nasi najbliżsi. Do pracy, do szkół, do swoich wielkich i gwarnych miast. Moje do Gdańska i Londynu, jej do Torunia i Bydgoszczy. Wszystko wraca na znane tory, do codzienności. I teraz, jak zwykle po wakacjach, nasze spotkania nabiorą normalnej częstotliwości. Mam dwie godziny. Ogarnę trochę w altanie. Aha, i koniecznie muszę pousuwać przekwitłe róże, bo dostanę burę od Gabi. Jest moją instruktorką w temacie ogrodnictwa. I inspektorem. Odwiedziny przyjaciółki, niewidzianej tyle czasu, to pretekst do poświętowania. Upiekę gofry! Mam domową konfiturę z czarnych porzeczek. Będzie dzień obżarstwa z mnóstwem kalorii. A co tam... Jedna z moich znajomych uważa, że swojskie kalorie są inne niż kupne. Są dobroczynne, bo odpędzają smutki.

– Cześć, rudzielcu... – przytulamy się serdecznie. Od dwóch lat farbuje włosy na rudo. Poznałam ją jako blondynkę, ale od tamtej jesieni postanowiła zmienić kolor włosów i myślenie. Właśnie w takiej kolejności. „Zmieniasz image, to nie możesz myśleć po staremu. Nowe włosy, nowe myśli”, powiedziała, gdy pierwszy raz przyjechała do mnie odmieniona.

– Grażko, mam ci tyle do powiedzenia. To, co w mailach, to tylko ułamek. I mam dla ciebie roślinki. Mikołaj nazwoził mi trochę nowinek.

Tak to jest, jak się ma syna dyplomowanego ogrodnika i ogród ze wszystkimi roślinami świata. Tak nazywam ogród mojej przyjaciółki. Gabi zawsze coś mi zwozi, a ja nie mam już gdzie tego wszystkiego sadzić! Ona też uważa, że u siebie ma tłok, jednak wszystkie ogrodnicze nowinki wciąż gustownie lokuje wśród już rosnących. To dzięki niej mój ogród wypiękniał. Wiele się od Gabi nauczyłam, ale nie mam tyle serca do roślin co ona. Jak coś nie chce mi rosnąć, to niech sobie nie rośnie. A Gabi gada z roślinami, dogadza im miejscem, słońcem lub cieniem. Leczy je, przesadza, okrywa. I strzyże. Właśnie tak – nie tnie, nie przycina, tylko strzyże. A gdy w dzień strzyżenia dzwonię do niej z pytaniem, co robi, odpowiada, że ma dużo fryzjerskiej roboty. Zupełnie zwariowała na tym punkcie. I to mnie cieszy,

bo kocham wszelkich pozytywnych wariatów. Ludzi z pasją. Ludzi, którzy robią to, co lubią, a nie to, co muszą. No dobra, nieraz mus jest, ale niechże będzie razem z jakąś pasją. Poza tym ogród to terapia Gabi – przynajmniej kiedyś nią był, teraz jest jej miłością.

– Ogród jest facetem, chociaż tyle w nim subtelności, zwiewności, barw, zapachów i fantazji – zauważyła kiedyś. – Szkoda. Tyle kobiecych cech. A z drugiej strony... kochałabym kobietę, gdyby nazywał się ogrodą, prawda?

– No rzeczywiście! – aż krzyknęłam na odkrycie Gabi. – Nigdy w ten sposób nie pomyślałam. Masz rację, tyle delikatnych kształtów, magii, kolorów, wymyślnych form, czułości i wrażliwości, pięknych zapachów, zabaw z kaprysmi pogody, a to jednak facet! Pan ogród.

Ostatnio widziałyśmy się w połowie lipca, na Dniach i Nocach Szczytna. Jak co roku zjeżdżamy wtedy do miasta z przeciwnych stron. Ja od strony Nidzicy, czyli Szyman, Gabi z kierunku Olsztyna, czyli Pasymia. Te trzy lipcowe dni weekendowe to wielki jarmark różnorodności. Zamknięta dla ruchu samochodowego centralna ulica Szczytna zamienia się wówczas w bazar. Zazwyczaj nie zwracamy uwagi na stragany z byle czym, które, jak się wydaje, stanowią większość. Oblegane są przez dzieciarnię i odciągających ją stamtąd rodziców. Za to każdego roku szukamy stoisk z miodami pitnymi, na których zaopatrujemy się w dwójniaki, trójniaki i czwórniaki. Z kurpiowskich lasów, pól i łąk. Z tamtejszych miodosytni. Ich zakup to nasz coroczny dniainocszczycieński rytuał. Obie doskonale wiemy, jakie muszą być proporcje wody i miodu, aby powstały konkretne grupy. Wiemy również, że dzięki doprawianiu dodatkami można uzyskać różne bukiety. Obie lubimy miód korzenny. Gabi lubi również cytrusowy.

– Panie, oscypki na Mazurach? – Gabi spytała niby-górala, gdy spacerowałyśmy pośród kramów.

– No! – odpowiedział z entuzjazmem.

– Chyba tutejsza produkcja? – patrzyłam podejrzliwie na człowieka.



– Chyba pan żartuje? Opłaciło się gnać sześćset kilometrów z serami na Mazury? – przyjaciółka wspierała mnie.

– Dam paniom posmakować – nie usiłował przekonywać nas do swojej podhalańskości, za to podał na nożu plasterek sera. – Najlepiej smakuje do piwa – poczęstowałyśmy się z noża wielkiego jak kosa. Następnie podał inny. Smakowały nam, ale szkoda, że góral–niegóral nie mówił po góralsku. Byłoby atrakcyjniej. I nawet nie starał się przekonać nas, że sery są spod *siamiuśkich Tater*. Mógłby też ubrać się porządnie, jak na górala przystało, a nie tak pospolicie. Koniec końców, kupiłyśmy po kilka serów w kształcie pięknych, złotych wrzecion.

– Bo wiesz, Grażka, takich jak my ceprów z nizin, niektórzy oszukują. Robią sery z krowiego mleka, wędzą i wciskają jako oscypki, z owczego. A ja znawczynią nie jestem – Gabi uswiadamała mnie.

– Dziś wszystko jest wszędzie. Może i przyjechał z Podhala. Kto go tam wie. Jadłam kiedyś ser z mieszanki mleka owczego i krowiego, ale nie nazywał się oscypkiem, tylko serem z dodatkiem owczego mleka, tyle że kształt miał jak *loscypek*. Ja też nie jestem znawczynią.

– To teraz zgodnie z sugestią niby-górala powinnyśmy kupić piwo – zaproponowała Gabi.

Następny postój spowodowały wielkie jak miednice swojskie chleby na zakwasie. Co roku to samo, trudno nam się oprzeć zapachowi, kiedy tak leżą sobie na straganie, apetyczne, rumiane, i nęcą. Jedne pieczone na liściu chrzanu, inne z dodatkami. Kupiłyśmy bochen ważący chyba z pięć kilo, a trzy na pewno. Poprosiłyśmy o przekrojenie go na pół. Pięknie pachniał i tak samo wyglądał. Był również smalec z jabłkiem, cebulką i majerankiem. Ale potrafimy go zrobić same. Nic trudnego przecież. Na ladzie, obok chlebów, zawsze stoją słoje w małosolnych ogórkami. Chleb ze smalcem, sprzedawany na pajdy, i do tego ogórki ociekające pachnącą chrzanem i koprem zalewą, co roku mają wielkie powodzenie. Wciąż jest kolejka chętnych na to proste, wiejskie jedzenie. Później, już obkupione, zawsze zachodzimy do Teresy, naszej wspólnej przyjaciółki. Dla niej też mamy chleb,

czasem coś innego. W tym roku kupiliśmy jej mały, okrągły, pieczony na liściu chrzanu. Odwiedzamy ją w jej lokalu. Teresa ma własny biznes, w tych dniach i u niej wyjątkowo gwarно, więc nie ma czasu na łażenie po straganach.

W cudownej aurze zapachu chleba mijałyśmy stoiska koronczarek i ludowych rzeźbiarzy. Aż przystanąłyśmy z podziwu, bo na naszych oczach kawał drewna zamieniał się w świętka. Jak zwykle nie wytrzymałyśmy i obie zaczęłyśmy skubać swoje połowy bochna. Idąc, gadałyśmy z pełnymi buziami. To dziecinne zachowanie też kiedyś uznałyśmy za nasz coroczny rytuał, bo tylko podczas Dni i Nocy Szczytna jemy na ulicy.

– Zachowujemy się jak dzieci – zauważyła Gabi, widocznie zapomniała o naszym dorosłe-szczenięcym rytuale.

– No to co, święto jest – przypomniałam jej. – Na co dzień układne, to raz można inaczej.

– My układne... yyy. No, ja może, ale ty...? Ha ha... – mamrotała z pełną buzią.

W tym roku nie było inaczej, znowu mój wzrok przyciągnęły stragany z koralami, wisiorkami, bransoletkami... Ależ cuda! Gabi zawsze odciąga mnie, bo wie, że w domu mam mnóstwo wisiorków. „Masz cały kufer” – tak mówi o moim małym kuferku, który stoi w sypialni otwarty, z wylewającymi się z niego sznurami kolorowych ozdób na szyję. Jest naprawdę malutki.

– Gabciu, tylko obejrzę – jak zwykle nalegałam, składając dłonie jak do pacierza.

– Znam twoje oglądanie i jego finał, od lat niezmienny – nie uwierzyła. Wie, że na oglądaniu się nie skończy.

– Ale zobacz, jakie te cudne – pokazałam korale w błękitnej tonacji. – Albo to, chyba prawdziwy minerał w srebrze.

– To sztuczne cacka. Wystarczy spojrzeć na cenę.

– No to co, jest śliczny – wzięłam wisior do ręki. – Zobacz, jaka cena, to na pewno coś szlachetnego! Będzie mi pasował do jednej sukienki – kupiłam, bo lubię takie rzeczy. Nawet sztuczne. Ale wisior okazał się srebrem, tyle że kamień był imitacją. – Gabi, a spójrz tylko na to! Mam sukienkę indyjską, wiesz którą,

i ta bransoletka też będzie pasować idealnie – wskazałam na jedną z bransolet, ale gdy się odwróciłam, przyjaciółki już nie było. Dostrzegłam ją nieco dalej. Stała i cierpliwie czekała na mnie. Żuła chleb otoczona płynącym tłumem ludzi.

– Wiedziałam. Jak dziecko... ech... – skwitowała przyjaciółka, wkładając do ust kolejny kawałek chleba. – Ale po ogórku mogłyśmy kupić, choć po jednym, w łapę – żalowała.

Szłyśmy dalej szpalerem kramów. Gabi urzekły wyroby garncarskie. Brała do rąk gliniane naczynia, wazon, dwa jaki. Podziwiała kształty i malowane zdobienia. Stukała w nie albo oddalała od oczu na całą długość ramion, wyobrażając sobie, co by w nich najlepiej wyglądało.

– W ten baniasty włożyłabym suszone miechunki, miesięcznice, kocanki. Właśnie w taki surowy, nieemaliowany. Lubię takie rzeczy w werandzie – wiem, że lubi.

Kobieta siedząca za ławą z glinianymi wyrobami do tej pory nie zwracała na nas uwagi. Przeglądała jakąś kolorową prasę. Ale słysząc przedłużający się zachwyt Gabi nad wszystkim, wstała i wręczyła jej ciekawą broszurkę reklamującą pracownię garncarską, obok której jest sklep, gdzie wybór jest jeszcze większy. Zachęcała do odwiedzenia. Na ostatniej stronie reklamówki była nawet mapka z dokładnymi wytycznymi, jak dojechać na miejsce. Okazało się, że to nie na końcu świata, lecz na Mazurach. Gabi tak zagłębiała się w garncarski temat, że kobieta zaczęła ją wtajemniczać w szczegóły prac nad powstawaniem wyrobów, zaprosiła na targi rękodzielnictwa i na warsztaty, które co jakiś czas są tam organizowane.

– Wiesz, bardzo mnie to wszystko zaciekało. Garncarz... hmm. Kobieta to chyba garncarka, nie? – podsumowała swój zachwyt. – Nie miałam pojęcia, że jest taki podział, bo powiedziała mi, że jest kurs ceramiki artystycznej i garncarstwa. Kurczę, pociąga mnie ten temat. Toczenie na kole garncarskim, formowanie, to musi być pasjonujące. Na pewno relaksuje, wycisza. Muszę się tam wybrać. Od zawsze uważam, że nie mam zdolności plastycznych ani manualnych, ale przecież nigdy nie spróbowałam, nie? Nie mogę być tego pewna, prawda?

– W takim razie musisz spróbować. Może się okazać, że drzemie w tobie talent i czeka na pobudkę – zachęcałam ją do zmierzenia się z kołem garncarskim.

Takie są Dni i Noce Szczytna. Każdemu się udzielają mimowolnie. Spacerujący tłum ludzi, muzyka dobiegająca zewsząd i kolory jakąś czarodziejską mocą wyraźnie wpływają na ogół. I chyba o to chodzi, prawda? Niektórzy mają na głowach kolorowe peruki z lamet. Niebieskie, czerwone, seledynowe. Albo inne dziwadła. Opaski z migającymi czułkami, śmieszne kapelusze, okulary w najdziwniejszych kształtach.

Kupiłyśmy jeszcze parę drobiazgów. Gabi – kapelusz słomkowy i kilka torebek suszonych ziół. Ja – kosz wiklinowy na grzyby i świecę z pszczelego wosku. Szłyśmy dalej, po chwili jednak zawróciłyśmy po jeszcze jedną świecę, bo postanowiłyśmy kupić także dla Teresy. Obkupione skierowałyśmy się w jedną z bocznych uliczek. Jak przewidywałyśmy, w lokalu naszej przyjaciółki było gwarno. Wszystkie stoliki były zajęte, na zewnątrz pod parasolami również. Przeważali piwosze. Zostawiłyśmy Teresie apetyczny bocheneczek chleba, oscypek, pachnącą miodem świecę i wyszłyśmy, zamieniając z nią tylko kilka zdań. To w zamian za darmowe dokarmianie nas, jak czasem wpadamy tu ze swoimi zakupowymi zdobyczami, przeważnie ciuchami. Umówiłyśmy się we trzy po weekendzie. A w niedzielę zaplanowałyśmy przyjechać do Szczytna, już razem z mężami, na wieczorne koncerty znanych gwiazd. Potem zjeżdżają się do mnie i do Gabi dzieci z rodzinami na wakacje, więc zawsze we wrześniu mamy sobie nawzajem do zdania relacje z półtora miesiąca.

Ale i tegoroczne wakacje są już tylko wspomnieniem. Sadowimy się w altance z kawą, z ciepłymi i pachnącymi wanilią goframi, i zaczynamy nasz maraton sprawozdawczy z drugiej połowy lipca i całego sierpnia. Gabi opowiada o swoich bliźniaczych synach, Mikołaju i Boguszu, o synowych i córeczkach Mikołaja, Nelce i Oliwce.

– Mikołaj uwielbia przyjeżdżać na Mazury. Lubi włóczyć się po lesie z dziewczynami. Niechętnie jedzie do Szczytna, chyba że jest pilna sprawa. Dosłownie rozkoszuje się ciszą i przyrodą. Zauważa detale. Pokazuje wszystko swojej Monice i dziewczynom. Tłumaczy im. Ale w końcu to dyplomowany ogrodnik, nie? Bogusz z Oleńką nie przywiązują takiej uwagi do każdego kwiatka, roślinki i ptaszka. Za to dużo czytają albo grzebią w Internecie, w tych swoich wielkich i cienkich komórkach. Bogusz zerka w giełdę, Ola słucha muzyki. Albo o czymś dyskutują. Robią przepiękne zdjęcia. Wprost artystyczne! No i teraz nie wiem, jak to z nimi jest. Bo choć nie podziwiają na głos przyrody, to zdjęcia robią fantastyczne! Potrafią uchwycić lądującą na kwiatku pszczołę albo mrówkę taszczącą jakiś patyczek. Nawet kroplę wody spływającą z liścia. Mam wspaniałych synów i najwspanialsze synowe. Monika tak mądrze wychowuje swoje córki. A wnusie... nawet nie chcę mówić, bo jak zacznę, to mnie nie zatrzymasz. Są jak barwne motyle.

I to jest właśnie cała Gabi. Niechby nawet mszyce zjadały jej wypielęgnowany różany szpaler albo skradziono jej ukochaną nową srebrną damkę, czy nawet splądrowano cały dom, niechby się nie układały jej relacje z synowymi albo czekała ją poważna operacja, ona zawsze skupia się na pozytywach. Choćby strasznie pokłóciła się z Pawłem, choćby jej dach przeciekał, nigdy nic złego nie powie ani na niego, ani na dach. Pozytywy widzi wokół i we wszystkim, co ma. Kiedyś mi to wytłumaczyła: „Wiesz, Grażko, teraz chcę żyć barwnie, pogodnie i radośnie. Wypełniam wszystko kolorami, nawet nadmiernie, bo wtedy byłam taka bezbarwna. Szarobury był mój dziecięcy świat, bo skradziono mi jego kolory. Nadrabiam zaległości, choć ja ich nie narobiłam. Mnie też dopadają smutki, porażki i choroby. Nieraz pokłócimy się z Pawłem. Ale nie skupiam się na tym, co złe, bo to stan przejściowy. Zło da się naprawić, a dobro sobie jest. Jestem taka zachłanna na pogodę ducha, na szczęście, na śmiech. Zachłanna na dobry dom. Na miłość. Na ciepłe słowa i gesty. A może to nie wina zachłanności? Mam po prostu piękną dorosłość. Mam fajną rodzinę. Dostałam nagrodę za tamto.

Od losu”. Najmniej pozytywów zawsze dostrzegała w sobie, ale od jakiegoś czasu zauważam w niej zmiany.

– Co to za roślinki? – pytam, bo przywiozła mi karton z doniczkami.

– To jałowiec łuskowaty, miniaturka. Ja już taki mam. Nie wiem, gdzie to wszystko sadzić. Wciąż kupuję jakieś nowinki ogrodnicze, a i Mikołaj często mi coś podrzuca – Gabi, znawczyni całej roślinności świata, wskazuje na doniczki i objaśnia. – A to jęczyczka pomarańczowa, zimuje w ogrodzie, ale nie sadź jej na palącym słońcu, bo nie lubi. Posadź nawet w zupełnym cieniu. Ona najlepiej rośnie nad wodą, więc musisz ją solidnie podlewać. No i śláz piżmowy, taka małwa. Zobaczysz, jak pięknie ci zakwitnie w przyszłym roku, lawendowo. On uwielbia słońce i będzie ci się sam rozsiewać. Pasuje na nasze piaszczyste liche ziemie, jest niewymagający. A w tej torebeczce masz kilka cebulek tulipanów, ale to niespodzianka, więc nie zdradzam szczegółów. Wysadź je jesienią, a wiosną zobaczysz, co to za чудо. Nowość, ponoć prosto z Holandii. Jak zakwitną, to powiem ci, na czyją cześć zostały nazwane. Teraz nie, bo sprawdzisz w necie i nie będzie niespodzianki. A co u ciebie?

– Podobnie. Leśna codzienność. Monotonnie znajoma – praca, ogród, dom, książki, czasem jakiś wyjazd. W tym roku dzieci dosyć długo przebywały u nas. Nacieszyłam się nimi. Na jakiś czas. Ale w końcu i ja muszę się do nich wybrać. Lotnisko w Szymanach to prawdziwy komfort. Będziemy się przemieszczać szybko, ino mig, jak to niektórzy mówią, nie? Będę odwiedzać ich samolotem. Ależ to brzmi! Z Szyman do Gdańska i do Londynu drogą powietrzną. Dla mnie to wprost niesamowite! Z takiej małej wsi. Gabi, a jakby i do Bydgoszczy były loty? Latałabyś do synów, do wnuczek. Normalnie bajka... – dzielę się z przyjaciółką swoją radością.

– Niesamowite, i to jak! Oby tylko ruszyło, zgodnie z planami. W tamtym roku, jesienią, siedzieliśmy w tym samym miejscu i marzyliśmy o lotnisku i darmowych biletach za przelot dla miejscowych, pamiętasz? – przypomina mi. – Wtedy skończyłaś

pisać książkę. A tak się wzbraniałaś. „Nie jestem pisarką” – Gabryś przedrzeźnia mnie sprzed roku. Kurczę, nawet jej się udało sparodiować mój głos.

– Chciałam, ale musiałam się trochę poopierać. Lubię, jak mnie ktoś tak bardzo prosi. Zwłaszcza ty. Sprawiasz mi tym szaloną przyjemność – śmiejemy się.

– Ej, ty małpiszonie! Widzisz, dobrze, że cię namówiłam, bo ileż można pisać wierszyki? Na dodatek do szuflady! – przyjaciółka pod stołem lekko kopie mnie w nogę.

– O, przepraszam bardzo, jak już, to do komputera. Fajnie, że wpadłaś. Bierz jeszcze gofra, póki ciepły – unoszę talerz w jej stronę.

– A co u twoich wiejskich koleżanek? Rozczytujesz je? Podrzucasz im książki jak wszystkim? Jak mnie?

– No wiesz... więcej mam tu zwyczajnych znajomych, bo koleżanki raptem dwie, trzy. I znajomi raczej nie czytają. Niestety. A koleżanki? Jedna czyta namiętnie, jak ja. Wymieniamy się czasem książkami i obie chodzimy do wiejskiej biblioteki. Ale gustujemy w zupełnie innej tematyce. Druga jest zapracowana, zalatana, ale czyta coraz więcej, bo wciąż podrzucam jej coś z mojej biblioteczki. No i Lilka, ją próbuję zachęcić do książek. To nasza tutejsza rękodzielniczka. Robi cuda z papierowej wikliny i dekoruje różne przedmioty techniką decoupage’u. Wiejska artystka. Niestety nie czyta. Mówi, że nie ma czasu, bo każdą wolną chwilę przeznaczona na tworzenie swoich dzieł.

– Z papierowej wikliny? – Gabi powtarza z niedowierzaniem.

– Tak. Z gazet skręca cieniutkie witki i z nich wyplata koszyki, patery, kasetki. Potem maluje. Wyglądają jak wiklinowe. Farba je usztywnia. Robi też świąteczne ozdoby. Zajaczki, jajka, wymyślne stroiki. Ma dziewczyna zdolności manualne i cierpliwość. To misterna praca. No i wyobraźnię. Dzierga też na drutach i szydełku. I szyje.

– No to jej nie rozczytasz.

– Próbowałam, ale marne mam szanse. Jak się spotykamy, czasem rozmawiamy o książkach. Ale każda ma innego bzika. Ja książkowego, Lilka rękodzielniczego. Ważne, aby go mieć,

a nie karmić się porażkami sąsiadów, ich niepowodzeniami. Ważne, aby żyć swoim życiem, z pasją. W ogóle odnoszę wrażenie, że wokół mnie mało kto czyta książki, i myślę sobie, jacy ludzie są ubodzy.

– Tak. Czytanie to przekroczenie granic swojego świata. To coś wspaniałego, ale oni tak nie myślą. Mają wielkie telewizory i telenowele wieczorami.

– Jasne... i kryształą za szybą. I żadnej książki. Żyją życiem innych.

– Dobrze, że mnie masz z głowy. Poznałaś mnie już rozczytaną – Gabi dumnie prostuje się.

– Ciebie to mogę jedynie rozpisać. Ale widzę postępy. Pamiętam twoje maile sprzed lat. Niby ładnie pisałaś, ale tak nie po kolei, chaotycznie. Teraz piszesz pięknie. Praktyka zrobiła swoje – chwałę ją.

– Staram się, skoro koresponduję z pisarką.

– Nie fantazuj, raczej z autorką jednej książki.

– Raczej z autorką pierwszej książki, bo to oznacza, że będą kolejne. Wszystko najtrudniej jest zrobić pierwszy raz. Podpisałaś umowę z wydawnictwem. Osiągnęłaś wielki sukces, Grażko! Dziewczyzna z lasu. Na dodatek moja przyjaciółka! Jestem dumna z naszej znajomości. A nie mówiłam ci, że wszystko dzieje się po coś? Ale ty nigdy w to nie wierzyłaś. Jak przestałaś zajmować się rekreacją konną, często zastanawiałaś się, po co wciąż mieszkasz w tym lesie. Ciągle gdzieś cię pędzi, często mówisz, że wkrótce się stąd wyprowadzisz. Teraz wiesz po co? Po to, aby spotkać mnie! Było mi pisane zmotywować cię do napisania książki!

– Oj, Gabi, to zbieg okoliczności! Chciałam posmakować życia stajennego, więc sama musiałam tego dopiąć. To żadne przeznaczenie. No, a że ty z rodziną przyjeżdżałaś na konie, to też przypadek, bo wiele jest stajni w okolicach Szczytna. A jak już przyjechałaś, to się poznałyśmy. Normalne, nie? Potem zaprzyjaźniłyśmy. Ja tu nie widzę żadnego przeznaczenia!

– A ja wierzę w przeznaczenie – Gabi obstaje przy swojej teorii.



– Wierz. Przecież różnimy się pięknie, prawda? Jeśli chodzi o książkę, to niesamowite, jeszcze niedowierzam... – mówię.

– Nie jestem w stanie sobie tego wyobrazić, jak *moja książka* leży na półkach w księgarni Fraszka w Szczytnie. Przychodzą rozczytani, biorą do ręki...

– Nie tylko w Szczytnie, Grażko! A i ja twoją książkę będę wszystkim polecać!

– Gabi, naszą! W końcu pisząc, czerpałam z twojego dzieciństwa garściami – śmiejemy się. – No tak, książka może być wszędzie – trochę się rozmarzyłam – W tym temacie wszystko jest dla mnie takie nowe, nieznanne. I to jest to! Bo kocham wyzwania i zmiany. Jednostajność na dłuższą metę mnie nuży. A nawet mężczy. Dziękuję ci, że namówiłaś mnie do pisania, że miałaś tyle cierpliwości. Nie wierzyłam w siebie, w moje pisanie, dlatego pisałam do szuflady.

– No i widzisz? Jak tylko się poznałyśmy, odkąd zaczęłyśmy korespondować, byłam zafascynowana twoimi mailami. O matko, pamiętam ten pierwszy do dziś, choć to już tyle lat... Pisałaś tak pięknie o tych swoich żurawiach na łące, ich godach. O skowronkach. Ze szczegółami, tak barwnie, że nie tylko to wszystko widziałam, lecz także słyszałam. A zimą, gdy porozwieszałaś słoninkę na krzaku bzu i opisałaś całe to zamieszanie, ptasi rwetes, to normalnie jakbym tu była z tobą. Pisałaś, że muszą między ptakami być rangi, bo niektóre czują respekt przed innymi. Albo o sójce, co to za morze nie poleciała. Ja się poznałam na tobie od razu. A zimę to dosłownie malowałaś. Albo pranie powiewające na sznurkach między jabłonkami. I motyle siadające na żółtej pościeli, z myślą o rzepakowych polach. Tak pięknie to opisywałaś, że aż czułam ten ciężki, wabiący je zapach rzepaku – Gabi zachwała moją korespondencję.

– Oj tam, oj tam. Lubię pisać, zawsze coś sobie popisywałam.

– No i dobrze, namówiłam cię, napisałaś książkę, wysłałaś, spodobało się w wydawnictwie i niedługo ją wydadzą. No, i tak trzymać. Będzie wspaniale. Kochana, a teraz gwóźdź spotkania... Moja synowa jest w ciąży! Nasza śliczna Olerka – Gabi aż klaszcze w dłonie.